Tak karze sumnienie. (*powieść*)

Manfred i Alonzo byli ostatnimi potomkami domu hrabiów Wilamroza, który przez kilka wieków stanowił naymocnieyszą podporę tronu hiszpańskiego. Obadway, za panowania Karola V., doszedłszy naywyższego stopnia urzędów i godności, spodziewali się u jego syna i następcy, znaleźć równe zaufanie i dostoyność; lecz żadna z ich nadziei skutkiem uwieńczona nie została. Xiąże Alby, widząc w hrabiach, niebezpiecznych dla siebie współ-zawodników, aby tém łacniey mógł korzystać z dobrych ku sobie skłonności monarchy, starał się podać mu w podeyrzenie obu możnych braci. Powod do oddalenia ich ode dworu, wkrótce został wyszukany, i w jednym dniu Manfred i Alonzo, od obowiązku usunieni, z sercem pełném zażalenia, Madryt opuścili. Odwieczna przodków puścizna, zamek oyczysty, o mil czterdzieści w ustroniu od stolicy położony, przyjął ich w swoje mury spokoyne. Manfred miał w towarzystwie żonę i córkę. Alonzo, chociaż daleko starszy, był jednak bezżenny.

Zamek rodzinny hrabiów Wilamroza, wśród lasu na mil cztéry rozległego, zbudowany, był prawie zewsząd od spólnictwa z ludźmi oddzielony. Nieliczni sąsiedzi, z którymi możnaby jeszcze było czas niekiedy podzielać, zimno od Manfreda przyjęci przy pierwszych odwiedzinach, poznali, że gospodarz nie życzył sobie mieć z nimi towarzystwa. Niezawodnie Wi-

lamrozowie opuściliby Hiszpaniję, i z ogromnymi skarbami przenieśliby się w kray cudzoziemski, gdyby ich do oyczyzny nie krępowała przysięga przed oycem, na śmiertelném łożu zostającym, wykonana, przysięga, która wtenczas tak lekką się wydawała, a w teraźnieyszém położeniu była sroższym nad wszystko dla ich serc ciężarem. Zostawało więc im tylko, zrzekłszy się związków ze szlachtą sąsiednią, pędzić życie w zupełném oddaleniu od reszty świata, i część swoich bogactw obrócić na ściągnienie do zamku Wilamroza, wszelkich wygod i przepychu. Hrabini, sprzykrzywszy ciągłe intrygi i nieprzyjemności dworu, które zdrowie jey męża zwątliły, mocno cieszyła się z nowego pobytu. Jedna tylko myśl jey spokoyność mieszała, myśl o przyszłym losie swey córki. Tu ona w głębokiey samotności wychowana, musiała zrzec się towarzystwa swoich rówiennic, opuścić wszystkie przyjemności wielkiego świata, do których płeć i urodzenie dawały jey prawo, tu żyć miała jedynie dla rodziców i stryja poświęcona.

Jeszcze na dziesięć lat przed rozstaniem się z dworem, zabrał Manfred w Madrycie znajomość z jednym szlachcicem niemieckim, który w poźnieyszym czasie nayważnieyszą przyniosł mu usługę. W pewney podróży napadnionemu od zbóyców hrabi, baron Lewenek życie ocalił; to na zawsze w pamięci Manfreda zostało; i kiedy baron do swojey oyczyzny powrócił; ani czas, ani oddalenie przyjaźni ich osłabić nie mogły. Przez lat wiele, nawet po zamieszkaniu Manfreda w zamku Wilamroza, nie przestawali oni pisywać do siebie.

Z czasem Rozaura, córka hrabiego, wzrosła i rozkwitła; aż w tém nagła śmierć jey matki, zmieszała szczęśliwość domową, cichym powabem łagodzącą dotąd, burzliwe hrabiów charaktery. Ciężka żałość obarczyła wszystkich; lecz naymocniey dotknęła Rozaurę, która w matce straciła nayblizszą, nigdy niewynagrodzoną przyjaciółkę. Urządzenia domowe, na nią jednę teraz spadłe, chociaż zabierały wiele czasu, opłakiwaniu tkliwey straty poświęconego; lecz za to tém mocniey oddawała się żalom, ilekroć bydź mogła samotną: pamięć o uśpioney na wieki, odbierała w dani łez potoki.

O sto kroków od zamku, były rozwaliny starey kaplicy, niegdyś mieysca zwyczayney modlitwy; lecz panowie zamku w poźnieyszym czasie, czuli niewygodę w odwiedzaniu odległey świątyni podczas złey pogody, i pod dachem zamkowym inną zbudowali, a tamtą czas powoli w zwaliska zamienił. Tu prawie codzień Rozaura, od nikogo niewidziana, przychodziła przesyłać modły za duszę matki, i za zdrowie oyca i stryja. Tu my nie raz będziemy czytelnika wprowadzali; potrzeba zatém poznajomić go pierwiey z położeniem i wewnętrznym stanem tey kaplicy. Na małym wzgórku stała budowa, którey okna długie i z wierzchu zaokrąglone, dach w górze zaostrzony i wieża wysoka, oznaczały już przybytek modlitwy. Wewnątrz nie wiele ostatków zostało, z którychby można było wnosić o dawnieyszym przepychu, tylko ołtarz stał jeszcze naymniey uszkodzony; do niego prowadziło kilka stopni, kryjących sklep, tak nieznacznie spadającemi

drzwiami zamknięty, że o tém weyściu nikt wiedzieć nie mógł, komu tajemnice familiyne Wilamrozów nie były powierzone. W pierwszych czasach swojego w zamku pobytu, hrabia, lękając się zbóyców, zabronił żonie i córce daleko odchodzić od mieszkania; lecz kiedy lat kilka bez żadnego przypadku upłynęło, zaczęto mniey używać ostróżności i chodzić wszędzie bez naymnieyszey trwogi.

W kilka miesięcy po śmierci hrabini, Rozaura, swoim zwyczajem, była w kaplicy, i klęcząc na stopniach ołtarza, modliła się z gorącą pobożnością; w tém posłyszała szelest za sobą: powstała i postrzegła przy wchodzie mnicha, który do drzwi przytulony, nie spuszczał z niey oka. Jego postać urodziwa, kaptur prawie zupełnie na twarz spuszczony, łatwo przeraziły Rozaurę. Chwilę zostawała w niepewności: czyli jey zostać, czy uciekać należało; ale mnich podszedł bliżey i prosił o jałmużnę. Gęsta i długa broda okrywała twarz jego, i tylko pozwalała widzieć dwoje czarnych oczu, których ogień w dziwney był sprzeczności, ze zgrzybiałym wiekiem pustelnika. Nie mając nic przy sobie, coby mu mogła ofiarować, Rozaura zmieszana, chcąc wyyśdź czémprędzey z tak przykrego położenia, zdjęła z ręki złotą obrączkę i oddała mówiąc: „więcey nic teraz uczynić ci nie mogę, weź to, szanowny oycze, i day mi swoje błogosławieństwo.” Nie rzekłszy ani słowa, pustelnik położył ręce na jey głowę, kilka minut zostawał w tey postawie i odszedł powoli. Rozaura patrzyła za nim przez okno kaplicy, i skoro znikł przed jey wzro-

kiem, udała się śpieszno do zamku. Długo to zdarzenie było jey na myśli i ciągle tkwiła w pamięci twarz starca i ogniste jego oczy. Lecz wkrótce inna ważnieysza okoliczność całą jey uwagę zajęła. Baron Lewenek listem uwiadomił, że syn jego udał się w podróż, i nie zaniedba odwiedzić przyjaciół swojego oyca. Na tey wiadomości hrabia Manfred osnował plan, tak miłe w jego sercu rodzący nadzieje, że go dłużey przed swojemi nie mógł zataić. Rozaura samotnie wychowana, niemająca z żadnym mężczyzną obcym znajomości, łatwo mogła bydź skłoniona do małżeństwa, którego jey oyciec tak życzył, zwłaszcza pod warunkiem, że póki on żyć będzie, przyszły zięć nie opuści zamku Wilamrozy. Czyli zaś młody baron Rozaurę upodoba, o tém hrabia nie wątpił, ani też inaczey myśleć niepodobna było, chybaby nie czuł powabu w tym, co jest naypięknieysze. Rozaura słuchała uwag oyca, bez nayznnieyszey oznaki radości lub smutku. Zdaje się, że myśl sama o tym związku, uszczęśliwiała Manfreda: dość więc było tego, aby córka bez oporu wolę jego spełniła.

Naypięknieysze w zamku pokoje na przyjęcie barona były przygotowane, i hrabia z niecierpliwością czekał jego przybycia, ale opóźniał się przyjazd codzień wyglądany, i czas listem Lewenecka oznaczony, upłynął, a jeszcze młodego barona nie było. Coraz bardziey mieszkańcy Wilamrozy byli niespokoyni, zwłaszcza, że wieść o znaczney bandzie zbóyców w tych stronach zjawioney, kędy miał przejeżdżać, trwogę ich pomnażała.

Nakoniec jednego wieczora, kiedy cała rodzina hrabiów razem zgromadzona, bawiła się, według zwyczaju, rozmową, o jednym i tymże samym przedmiocie, ciężko ładowna podróżna karéta, zatrzymała się u bramy zamkowey: siedział w niey ten, którego z taką niecierpliwością wszyscy oczekiwali. Obay hrabiowie rzucili się na jego spotkanie, a tymczasem Rozaura, skryta zasłoną okna, z ciekawością kobiécą, darowaną w tym razie, przyglądała się przeznaczonemu sobie przez oyca małżonkowi. Nie bez radości postrzegła, że przynaymniey, ten jego wzrost wyniosły, postać męzka i wspaniała, szlachetne i powabne rysy twarzy, nie utrudnią jey posłuszeństwa woli oycowskiey. Wybiegła potém śpieszno do pokoju, gdzie już gość przez oyca i stryja był wprowadzony. Z odznaczającą się grzecznością zbliżył się do niey młody baron: przyjemne pomieszanie zapłoniło Rozaurę, kiedy jey oczy spotkały żywy wzrok nieznajomego, zdający się błagać ją o dobre uważenie, zaledwo mogła wtenczas w kilku niewyraźnych słowach powitać nowo-przybyłego. Postrzegł to baron, i chcąc pozwolić jey czasu dla przyyścia do siebie, ku hrabiemu zwrócił rozmowę. Cały wieczor, jak to za zwyczay bywa w podobnych zdarzeniach, zajęły pytania i odpowiedzi o podróży. W całém jednak obeyściu się barona, wydawała się znajomość świata i uprzeymość w towarzystwie, każdey chwili coraz bardziey wszystkich zniewalająca. I Rozaura skoro wieczorem sama została w swoim pokoju, przypominając całodzienne zdarzenia, wszystkie wyrazy, każde poru-

szenie młodego gościa, czuła, że już dla niey nie była obojętną ta wątpliwość: czyli baron chętnie na żądanie jey oyca zezwoli.

Nie mogło długo ukrywać się przed wzrokiem Manfreda, to czułe zajęcie się, w postępowaniu barona z Rozaurą, które tak mile od niey było przyymowane. Już to postrzeżenie uszczęśliwiało hrabiego, jakoż nie długo, jednego poranku, młody baron wszedł do jego pokoju, i otwarcie, jak na uczciwego człowieka przystawało, prosił o rękę córki. „Znam sposob myślenia mojego oyca” dodał Lewenek „i jestem pewien, że móy wybor na jego zezwolenie zasłuży.” Z radośném poruszeniem hrabia uściskał go w swoich objęciach, i tegoż dnia obiecał przemówić za nim do Rozaury; lecz w tym momencie sama weszła do pokoju oyca, przynosząc mu śniadanie, które zawsze dla niego przygotowywała. Jeden rzut oka na hrabiego i barona dał jey poznać, że się coś niezwykłego między nimi zdarzyło, zarumieniła się i chciała odeyśdź, kiedy w tém baron zbliżył się do niey i głosem błagającym z wymównym oczu wyrazem, rzekł z przerywaniem: „Rozauro! taić przed tobą niepodobna, że kocham ciebie; powiedz więc, day wyrok mojego losu, czy życzysz ty, ty! którą więcey cenię, niż wyrazić mogę, czy chcesz bydź moją żoną?” Drżąc przytuliła się Rozaura do oyca i w jego oczach szukała odpowiedzi. Hrabia skłonił głową, na znak potwierdzenia, i Rozaura, kryjąc twarz przy jego piersiach, podała rękę baronowi. Z uniesieniem przycisnął on tę rękę do swojego serca, i z ust jego lice

dziewicy odebrały pierwszy pocałunek płonącey miłości.

Wkrótce po całym zamku było już o tém wiadomo, i wszystkich radość przejęła. Upływały tygodnie i miesiące; a Woldemar Lewenek, liczył tylko dniami czas życia, w którym, jak wyznawał, był nayszczęśliwszym z śmiertelnych. Nareszcie i odpowiedź barona, z radością błogosławiącego to małżeństwo, nastąpiła.

Jednego wieczora Rozaura obok lubego siedziała na balkonie swojego pokoju; słodki powiew wieczorny oblewał ją wonią kwitnących cytryn i pomarańczy; w objęciach kochanka, przy cichych miłości wyrazach, zajęta cała szczęściem obecném, oddana tylko lubym nadziejom, które były jey żywiołem, z resztą o niczém w świecie nié myśliła. Kiedy w tém, twarz Woldemara okryła się powagą; chwycił rękę kochanki, i utkwiwszy wzrok w jey oczy zapytał: „Rozauro! czy będziesz mnie zawsze *tak kochać, jak teraz?* Mogęż mieć nadzieję, że *nic w świecie*, nic, cokolwiekby się zdarzyło, twoich uczuć zmienić nie zdoła? Przysięgniy mi na Boga, którego oko na nas jest zwrócone! Przysięgniy na pamięć świętą twojey matki! Przysięgniy mojemu sercu, które bije dla ciebie jedney tylko, dla tego tylko, aby ciebie posiadać . . . które bić przestanie, jeśli ty kiedykolwiek mnie opuścisz!” To mówiąc, rozkrył piersi i przycisnął jey rękę do żywo-drgającego łona. „*Przysięgam*” z zająknieniem wyrzekła Rozaura: „*i niechay gniew Boga ukarze wiarołomną, jeśli kiedykolwiek*

ciebie opuszczę! jeśli kiedykolwiek zapomnę, żeś ty mnie dał poznać miłość i naywyższe szczęście w tém życiu!" Oparta na nim, ze schyloną głową, długo zostawała w tey postawie, i gdy podniosła oczy, postrzegła u niego na szyi, wiszącą na sznurku jedwabnym, złotą obrączkę. Woldemar chciał czém prędzey ją ukryć, ale Rozaura koniecznie żądała widzieć. Jakież jey było zdziwienie, kiedy poznała, że to była ta sama, którą przed kilką miesiącami, oddała za jałmużnę mnichowi w kaplicy. „Jakim sposobem masz ją? spytała — Baron żywo ją uścisnął i rzekł: śmiey się moja luba, śmiey się, ile ci się podoba, z mojey łatwowierności; jednak mego uprzedzenia, mimo wszelkiey usilności, pozbyć się nie mogę. Nie daleko od Madrytu spotkałem na drodze jednego mnicha, który mię prosił o jałmużnę. Z radości, żem już wkrótce miał dosięgnąć celu mojego dążenia, dałem mu dwa złote pieniądze. Długo patrzał na nie, a potém na mnie, i zapytał dokąd jechałem; kiedym mu odpowiedział, dał mi tę obrączkę, zalecając, abym ją zawsze nosił przy sobie, ponieważ miała własność odkrywania cudzych myśli. Nagrodziwszy mnicha, w miarę zasługi, wziąłem obrączkę, i od tey chwili nie mogę, czyli raczey nie chcę nigdy jey porzucić.

Z podziwieniem Woldemar słuchał potém opowiadania Rozaury, jakim sposobem obrączka dostała się mnichowi, i oboje wspólnie żartowali, z chytrego przemysłu mnicha i dobrey wiary Woldemara. Nakoniec Rozaura zdjęła ze sznurka obrączkę i włożyła ją na palec ko-

chanka, prosząc, aby nosił, jako zakład stałey i czułey miłości.

Nadszedł dzień ślubu, i skromnie, jak tego wymagał samotny sposob życia hrabiów Wilamroza, miało się odprawić wesele. Nie wielu, i to wiernych tylko a doświadczonych przyjaciół, zaproszono ze stolicy, aby swoją przytomnością zdobili dzień tak radośny. Rozaura zaledwo łóżko opuściła, zaraz udała się do sali, gdzie wisiały na ścianach jey przodków portrety, tam przed obrazem matki prosiła zesłania błogosławieństwa, na jey związek przyszły. Łagodną powagą jaśniało spóyrzenie, z góry w nią utkwione. „O nie! zawołała Rozaura, na co ten wzrok politowania, z radością poglądzy na szczęście twojey córki, która tu przed twoim obrazem składa przysięgę wierności dla kochanka i męża! *Wierności do grobu!*" — To mówiąc, padła na kolana, i oddała się zupełnie swoim uczuciom. W tém weszła służąca i wezwała ją do pokoju, gdzie Waldemar oczekiwał swojey narzeczoney, dla oddania w ślubnym podarunku sznurka pereł, który, chociaż był niezmiernie kosztowny, miłość mu jednak naywiększą nadawała cenę. Dzień cały zajęły mu przygotowania do uroczystości, mającey się odbyć o zmroku. Rozaura, ubrana do ślubu ręką swojey mamki Gertrudy, miłością macierzyńską ku niey przywiązaney, podała rękę kochankowi i prowadzona przez niego, wśród odgłosu trąb i kotłów, wstąpiła do rzęsisto oświeconey kaplicy zamkowey; za nią szli oba hrabiowie Wilamroza, a daley goście zaproszeni. Z radośném biciem serca Rozaura

schyliła kolana obok barona, na poduszkę bogato wyszywaną; niepojęte uczucie zajęło jey duszę: zbliżała się chwila, kiedy los jey przyszły na zawsze miał bydź rozstrzygniony. Przystąpił kapłan, i na parę prześliczną zlawszy błogosławieństwo, chciał jeszcze w przygotowaney mowie, przedstawić im świętość przyjętego Sakramentu, kiedy nagle baron, jak śmierć blady, padł na posadzkę świątyni. Podczas obrządku kapłan i Rozaura, uważali coraz zwiększającą się bladość jego twarzy, która nakoniec skończyła się omdleniem. Wszystko w zamieszaniu. Barona wyniesiono na wolne powietrze, i skoro się cokolwiek orzeźwił, wprowadzono go do pokoju. Rozaura sama prawie bez zmysłów, nim tylko zajęta, o nim tylko pamiętała; aż wreszcie powoli przyszedł baron do siebie, niebawiąc pokazał się w towarzystwie gości i opowiadał: jak podczas ślubu źle mu się zrobiło, zawrót głowy coraz się powiększał, i wreszcie zupełnie go czucia pozbawił. Wesołość powszechna znowu wróciła, tak, iż dopiéro o północy całe zebranie rozeszło się do spoczynku, zostawując młodych jedno drugiemu, i ich szczęściu. Ale jeszcze jedno zdarzenie, szczęście Rozaury przyćmiło, i jey spokoyność na czas niejakiś tak zmieszało, że nawet pieszczoty lubego męża, wraz jey przywrócić nie mogły. Kiedy się rozbierała, sznurek pereł, od Woldemara zrana darowany, upadł na ziemię, nitka pękła i perły roztoczyły się po podłodze. Cofnęła się Rozaura z przestrachem, wzrok jey padł na Giertrudę, która z twarzą zdumioną, milcząc, zbierała perły rozsypane.

Rozaura od przesądów zupełnie wolną nie była; zaraz przyszła jey na myśl powieść, często od matki słyszana, w którey podobne zdarzenie było wróżbą przyszłego nieszczęścia; to wszystko, tak mocne na niey sprawiło wrażenie, iż zaledwo czas, i coraz wzrastające szczęście małżeńskiego pożycia, zwolna jey niespokoyność uśmierzyły.

Obok lubego męża, Rozaura czuła się szczęśliwszą, nad wszelką możność wyrażenia. Lecz tém bardziey zdumiewało ją postrzeżenie, że od niejakiegoś czasu Woldemar pasował się z ponuremi myślami, które tylko jey przytomność mogła rozegnać. Ciężkim żalem napełniała ją ta uwaga. Cóż mogło go wtrącić w taki stan zamyślenia? Co go w nim trzymało? Czyli już Woldemar mniey ją kochał, niż przedtém? To bydź nie mogło, coraz tkliwsze czuła jego uściśnienia; tylko przy niey był wesoły; ona zdawała się bydź aniołem, niszczącym jego cierpienia. „Rozauro, nie odchodź odemnie!” często z rozczuleniem powtarzał, „ja tylko przy tobie szczęśliwym bydź mogę, ja tylko chcę żyć dla ciebie.” Troskliwie Rozaura śledziła przyczyny tey posępności jego duszy; lecz on zawsze jey pytań unikał; melancholiją swoją składał na cierpiący stan zdrowia, i nagradzał jey niespokoyność coraz tkliwszą miłością. Ta odmiana w baronie nie skryła się przed uwagą obu hrabiów, lecz że nie widzieli, aby jego uczucia dla Rozaury były zmnieyszone, przypisywali więc ten smutek tęsknocie do oyczyzny, spodziewając się razem, że to z czasem ustanie, kiedy Bóg no-

wemu związkowi błogosławić będzie. Spełniło się to błogosławieństwo, nim rok upłynął. Rozaura obdarzyła synem lubego małżonka. Kiedy Giertruda podała mu niemówlę, padł z niém na kolana i podniosłszy do góry, cicho ze łzami dziękował niebu, a potém osypał pocałunkami lube dziecie, i kiedy je składał w ręce młodey matki, usta jego tak czule imie drogiey żony powtórzyły, tak tkliwie przyjął ją w swoje objęcia, że przytomni wstrzymać się od łez nie mogli. Dzień i noc przy łóżku Rozaury, oddany jey posłudze Woldemar, nikomu nie zwierzał starań około swojey małżonki. Cały smutek, wszystka jego tęsknota zniknęła; myśl jego jedynie żoną i synem była napełniona. Rozaura i oba hrabiowie, z nadzwyczayną radością postrzegali tak szczęśliwą odmianę w baronie, i cieszyli się nadzieją, że więcey jego smutek nie wróci. Już prawie cztéry miesiące upłynęło, od dnia urodzin Manfreda, mały baron imie dziadowskie na chrzcie otrzymał, kiedy znowu dawnieysza posępność Woldemara, tak mocno go objęła, iż należało lękać się o jego zdrowie. Blady, z ponurym wzrokiem, błądził po gmachu zamkowym, i nie chciał przyymować żadney pomocy lekarza, „bez tego będzie mi lepiey,” to była cała odpowiedź, na prośby żony, troskliwey o ratunek jego zdrowia.

Jednego razu stan barona pogorszył się widocznie. Rozaura odebrała pakiet nót i xiążek z Madrytu przysłany; Woldemar siedząc przy oknie przezierał je, żona jego ze swoim stryjem bawili przy stole, kiedy niespodzianie

spóyrzeli na barona: niewzruszony jak posąg siedział na krześle: oczy jego były w ziemię utkwione, bladość śmiertelna powlekła mu lice: słowem, zdawało się, że już był z liczby żyjących wymazany. Ze strasznym krzykiem rzuciła się do niego Rozaura, a Alonzo pobiegł szukać ratunku. Ogrzany pocałunkami żony, chwila po chwili przyszedł Woldemar do siebie, wstał z głębokiém westchnieniem, i mówiąc, że się czuł słabym, udał się do łóżka, gdzie przez czas długi zostawał. Sprowadzony natychmiast z naybliższego miasta lekarz, uznał, że baron cierpiał niebezpieczną gorączkę, i zalecił pilne mieć o nim staranie. W kilka tygodni polepszenie uczuł, umysł jego był spokoynieyszy, a nawet bywały chwile, w których zdawał się tak wesołym, jak w pierwszych dniach swojey miłości. Nowa nadzieja zupełnego powrótu do zdrowia barona, ożywiła mieszkańców zamku Wilamroza; lecz wkrótce nowe zdarzenie, w jedney chwili ich szczęśliwość na wieki zniszczyło.

Potokiem lał się dészcz nawalny, i mieszając się ze śniegiem, tłukł w okna zamku Wilamroza. Był to właśnie jeden z tych wieczorów zimowych, tém nieznośnieyszych dla mieszkańców południa, że się rzadziey u nich trafiają. Już było po wieczerzy: Alonzo poprawił żar w kominie, podrzucił jeszcze drewek, i prosił reszty towarzystwa domowego, usiąść przy ogniu aby godzinę czasu poświęcić rozmowie. Wszyscy chętnie na to przystali, zasiedli w około, a Alonzo na żądanie całey kompanii, zaczął opowiadać dawne swoje zdarze-

nia; kiedy w tém tentent koni, przerywany głosem wielu ludzi, dał się słyszeć na dziedzińcu zamkowym. Rozaura siedziała, na łono męża schylona, i bardziey nim zajęta, niżeli opowiadaniem stryja, piérwsza ten hałas usłyszała. „Rżenie koni! głos męzki u bramy! co się to znaczy?” zawołała. Wszyscy rzucili się do okien: ale dla wielkiey ciemności nic postrzedz nie mogli. W tém otworzyły się podwoje i wszedł kapitan woysk hiszpańskich. „Proszę darować, rzekł do przytomnych, że tak pożno mieszam ich spokoyność; lecz to pismo mojego monarchy, niechay mię wymówi; mam rozkaz złożyć je w ręku hrabi Manfreda Wilamroza.”

Oficer wzrokiem szukał tego, do kogo miał polecenie. Manfred podszedł i objawił mu swoje imie. Przez chwilę kapitan patrzał mu w oczy, a potém wskazując na barona, zapytał: „to, zapewna zięć jego?” Zdawało się wtenczas, że baron znowu gorączką był tknięty: drżały mu usta, bladość śmiertelna twarz pokryła. „Tak jest” odpowiedział hrabia. „Za pozwoleniem jeszcze” mówił daley kapitan, „czy nie mógłby nas hrabia, a osobliwie dama, jeśli się nie mylę, hrabianka Rozaura jego córka?.....” „Jestem żoną barona Lewenecka, przerwała Rozaura, tuląc się do męża, który stał, jakby przez konwulsyyne drgania miotany.” Kapitan jednak trzymał jeszcze w ręku papier adressowany do hrabiego, i po niejakiey chwili, obróciwszy się do niego, prosił, czyliby nie można było skłonić hrabini, do zostawienia ich sam na sam. „Co mam objawić”

rzecze: „nie jest dla uszu kobiéty, a osobliwie żony, i jak widzę, *czule przywiązaney* żony." Jeśli to, co mamy usłyszeć, ściąga się do mojego męża" znowu przerwała Rozaura, to ja obok jego jestem na swojém mieyscu, i proszę niezwłócznie oświadczyć,o co rzecz idzie." Bladość jey twarzy pokazywała, jakie wrażenie czyniła na niey bojaźń, usłyszenia coś nadzwyczaynego. „Kiedy hrabini sama tego wymaga" rzekł kapitan po niejakiém milczeniu, „pozostaje mi spełniać moję powinność." — To mówiąc zbliżył się do barona, dobył z kieszeni pistolet, i przykładając do jego piersi, mocnieyszym głosem rzekł: „W imie J. K. M. Króla Katolickiego, naymiłościwszego pana naszego, ciebie Erneście Welling, mianujący się baronem Woldemarem Lewenekiem, lecz nam i całey Hiszpanii pod imieniem Masseto Ziowalini, jako herszt zbóyców znajomy, moim więźniem ogłaszam."

Któż potrafi wyrazić, co te słowa na wszystkich przytomnych zdziałały! Słabym tylko rysem sprobuję stan każdego wydać. Główna osoba w tym obrazie, Woldemar, stał niewzruszony, wraziwszy wzrok swóy na żonę, która krzyknęła: Boże!" i padła bez czucia na ziemię: z resztą, co się około niego działo, zda się, że tego nie widział, ani naymnieyszy znak przestrachu nie zjawił się na jego twarzy. Sam tylko Alonzo nie stracił przytomności umysłu, podchwycił chwiejącego się brata, przybliżył go do krzesła i przynaglił do czytania pisma, przez oficera mu podanego; w którém znaleźli tylko potwierdzenie słów

kapitana. Jakby z głębokiego snu na jaw wyrwany, w kilka chwil Woldemar powrócił do siebie, oddał kapitanowi sztylet i mały pistolet kieszonkowy, a potém schyliwszy się ku Rozaurze wycisnął na chłodnych jey ustach długi pocałunek i zaledwie mógł te słowa wymówić „biedna, nieszczęsna kobieto, obyś ty na wieki tak usnęła!" Tu powstał i rzekł do kapitana „spełniay co ci powinność każe." Kapitan zawołał stojących za drzwiami żołnierzy, kazał włożyć okowy na ręce i nogi Barona, zaprowadził go do pojazdu stojącego u bramy zamkowey, oddał więźnia w ręce straży i sam na chwilę do nieszczęsney rodziny powrócił, żeby w kilku wyrazach oświadczyć, że nic ze swojey strony nie opuści, coby ulgę przynosić mogło losowi Barona. „O Boże! Boże jak ciężko dotknęła mnie ręka twoja! wołał oyciec głęboko rażony. „Czy powinienem żądać, żeby moja córka do życia wróciła, czy niechay na wieki w objęciach śmierci zostanie! Jaka zgroza dla całey rodziny! Jakże się ucieszą moi nieprzyjaciele i z hańby naszey urągać się będą!"

Alonzo klęcząc przy synowicy trzymał jey głowę na swoim ręku zwieszoną. Leżała ona bez ruchu, żywy obraz śmierci; kiedy w tém weszła Giertruda, która dotąd równie jak inne sługi przerażona, zostawała w dolném mieszkaniu. Jey usiłowania potrafiły nakoniec powrócić panią do czucia. Rozaura otworzyła oczy, rzuciła wzrokiem około siebie i z jękiem przeraźliwym zawołała „Woldemarze gdzie jesteś? Oni chcą ciebie od mojego serca oderwać! Widzę miecz nad twoją głową. Wstrzy-

maycie się! Dla Boga wstrzymaycie się! mnie zabiycie! mnie..... „Tu znów wpadła w omdlenie i aż ledwo się nazajutrz rano ocknęła. W milczeniu, bez sił leżała na łóżku, tuż siedziała Gertruda pilnie zważając wszystkie jey poruszenia. Teraz, pomyśliła sobie, już jest pora przypomnieć jey obowiązki, które zostały, kiedy innych spełniać wyroki nie pozwalają. Poszła więc do przyległego pokoju, wzięła małego Manfreda i podała go matce. Nieszczęsna z niemą boleścią przycisnęła dziécię do łona. W nim ona widziała drogie rysy kochanego męża. Jego oczy, w których jaśniała miłość i naywyższe szczęście na ziemi. I on! on mógłże bydź dowódcą strasznym bandy rozboyniczey, przed nim to drżała Hiszpania niespokoyna, za jegoż to głowę była cena naznaczona, i imie jego ze wstrętem wymawiano? On, on to był sam?

W duszy Manfreda wrzała zgroza. Już dzień zaświtał, a on jeszcze wzdłuż i wszerz chodził po swoim pokoju. Na jedno mgnienie oka, sen powiek jego nie skleił. Próżno Alonzo usiłował go uspokoić. Serce jego srożey nadwszystko, cokolwiek się zdarzyć mogło, było teraz rażone. Wolałby tysiąc razy widzieć jedyney córki skonanie, niżeli taką hańbę ponosić: niżeli widzieć szlachetną krew swoją ze krwią bandyty zmieszaną. Nie mógł on pojąć, jakim sposobem zbrodzień dopiął swoich zamiarów, jakie występki torowały mu drogę: jak potrafił tak zręcznie udać rękę *prawdziwego Barona*, że więcey roku, sam Lewenek był złudzony. Co się stało z synem barona; gdzie się podział? czy nie jest ubity? Tyle zagadek przychodziło

mu do głowy, i żadney z nich rozwiązać nie był on w stanie. (*Dokończenie nastąpi*)

Do T. M. J. N. . . . . * * *

Gdzie się nazwała trzeciém imieniem,
Niewinność gracyów dłonią pieszczona:
Zakwitły życiem, jak bóstwa tchnieniem;
Teressy — Maryi — Julii — imiona.

Gdzie wytwor zdobił naturę strojem,
Blask świecił miasto wdzięków i cnoty:
Niewinność jedném spóyrzeniem swojém:
Swietnych orszaków ćmiła przymioty.

Jak gwiazda błyszczy w ciemnym obłoku,
Jak trzcina rośnie, z krzewin poziomych,
Tak wzrost anielski w lubym uroku. . . .
Jaśniał nad mnóztwo fraszek znikomych.

Ni wstąg kolory, ni warkocz nowy. . . . .
Ni wzrok zmyślony oka nie mienił;
Pasterski ubior serca i głowy,
Poranek wiosny wdziękami cienił.

Drobnych róż kilka, w rząd uplecione,
Kształtną zawiązką wianek zdobiły,
Lecz na niewinney skroni złożone;
Wdzięków swey pani cieniami były.

Ach wszędy mówi cnoty spóyrzenie! . . . .
Boginie strojów czemuż nie wiecie? . . .
Że przez krok, ubior, wzrok i skinienie. . . .
Każdy was pozna, czém bydź możecie. . ,,

Lecz cóż za skłonność? . . przebóg! . . czy ona ? . . . .
Ma bydź dla innych, wzoru udziałem. . . .
Czy jedną tylko, z licznego grona ? . . .
Teressę — Maryą — Juliją — widziałem.

Epigrammata Ignacego *Legatowicza.*

I.

Odtąd, jak się pożenili;
On kocha ją, ona jego;
Lat dziesięć sobie przeżyli
Paweł i pani Pawłowa,
Tak, że jedno do drugiego
Nie rzekło przykrego słowa.
— Cud, gdzież jest para szczęśliwa,
Co tak z sobą żyje zgodnie ?
— Sam gdzieś na Żmudzi przebywa,
A ona przy matce w Grodnie.

II. (*z franc.*)

Do osiągnienia godności,
Którey dziś mi świat zazdrości,
Nie uczyniłem ni *kroku.*
Chwalił się Prot. Rzekł ktoś z boku:
Prawdę mówi Pan Dobrodziey:
Bo, kto się czołga, nie *chodzi.*

(*z franc.*)

Albiusza Tybulla xięga 1. elegija 1.

Niech sobie chciwy bogactw, żółty kruszec składa,
I żyżnych pól obszérne przestrzenie posiada,
Który od sąsiedniego wroga żyje wśród obawy,
Ani mu pozwalają snu wojenne wrzawy.

Mnie me ubóstwo ciągnie k miłemu spoczynku,
Gdy nieustanny ogień pełga na kominku,
Sam zaszczepię gałązki młodziuchne macicy,
I z chętney wielkie jabłka zasieję prawicy.
Niech tylko w daniu płodów nadzieja nie zdradzi,
I napełnione winem niechay stoją kadzi,
Bo czczę ciebie Palio! wianki kwiecistemi,
Z skały, lub jesteś z drzewa na rolniczey ziemi.
A jakiekolwiek nowy rok wyda owoce,
Te na ofiarę Bogu rolnictwa obrócę.
I z kłosów tobie Ceres! ma ręka uczyni
Wianek, który niech wisi w podwojach świątyni,
Niechay rumiany Pryap czuwa nad ogrody,
I kosą płoszy straszną powietrzne narody.
A wy obszérney niegdyś, dzisiay szczupłey ziemi,
Stróże Lares! wspieraycie mnie darami swemi.
Niegdyś broniła trzodę jałówka zabita,
Teraz i owca z grzędy, ofiara sowita.
Zabiję owcę, w koło niech wieyska drużyna
Woła: o żniwo! daycie tu dobrego wina.
Już dopiéro przywykły przestaję na małe,
I naprzykrzone życie znosić mogę stałe,
W upał słoneczny siądę w cieniu dla ochłody,
Nad strumykiem co pędzi swoje zimne wody.
Nie wstyd mi twardey trzymać dopiéro motyki,
Ani że biczem zatnę ociężałe byki.
Porzucone od matki koźlę nie mam sromu,
Lub jagnię w ręku odnieść do mojego domu.
Wilki, złodzieje, zdala idźcie mey zagrody,
Szukając swey zdobyczy od liczniejszey trzody.
Tu ja corocznie zwiedzam mojego skotarza,
Tu mlékiem skrapiać Pali nie minę ołtarza.

Przybądźcie Bogi! małe przyymiycie ofiary,
Nie pogardzaycie memi z czystych dzbanów dary.
Naprzód bowiem dzban sobie rolnik przysposobił,
Który z gliny i łacney i giętkiey wyrobił.
Bogactw przodków, ni zbiorów ma dusza nie chciwa,
Które dziadom odległym przynosiły żniwa:
Dosyć szczupłego zbioru, dość w łożu drewnianém
Spocząć, i wrócić siłę członkom zmordowanym.
Jak śpiąc przyjemnie słuchać wiatry groźne zgubą,
I jak to miło trzymać na łonie swém lubą!
Albo gdy zimny Auster wody zleje hoynie,
Jak miło przy dżdżu szmerze zasypiać spokoynie.
To ja lubię: lecz słusznie ten niech będzie panem,
Kto nie stracha się dżdżami, morzem rozhukaném.
O niech raczey smaragdy z wszystkiém złotem zginą,
Niż będzie odjazd płaczu mey lubey przyczyną.
Biy się Messalo mężny na morzu i ziemi,
I dom łupy przepełniay nieprzyjacielskiemi.
Mnie okuła mocnemi kochanka więzami,
Przed jey twardemi siedzę, jak stróż podwojami.
Delio moja! nie chcę ja żadney pochwały;
Niech mnie nazwą, gdym z tobą: próżniak i zgnuśniały.
Niech tylko cię obaczę w ostatniey godzinie,
I ścisnę ręką, w którey krew już nie popłynie.
Zapłaczesz nad złożonym w łożu żałobliwém,
I łzy smutne połączysz z całowaniem tkliwém.
Zapłaczesz Delio, bowiem nie twardém żelazem,
Otoczone twe serce, ani ostrym głazem.
Z pogrzebu mego chłopcy, i hoże dziewicy,
Nie powrócą do domów bez łzawey zrzenicy.
Nie rusz moich popiołów; ale rozproszonym
Przebacz Delio włosóm, policzkom pieszczonym.

Teraz kiedy los sprzyja, połączmy kochania;
Póki kryta śmierć kirem, zmusi do rozstania.
Już zbliża się wiek gnuśny, kochać nie przystanie,
I nie piękne dla starca miłośne wzdychanie.
Teraz służyć miłości, gdy złamać podwoje,
I gdy nie straszną rzeczą staczać miłe boje.
Tu ja wódz, tu bohatér — Precz trąby chrapliwe,
Precz chorągwie, niech rani strzała męże chciwe.
Nieście pomoc Bogowie! ja zpod nizkiey chaty,
Gardzę spokoyny głodem, gardzę i magnaty.

WIEKI LUDZKIE. — Wyjątek z Horacyusza.
Epist. ad Pison.

Chłopiec co już szczebioce, i pewną po ziemi
Nogą stąpa, rad igrać z rówienniki swemi,
Jak prędki jest do gniewu; tak skory do zgody,
Zmienia się co godzina. *Młodzieniec* bez brody,
Gdy mu z oczu odeydzie pedagog surowy,
Lubi konie, i charty, i piękne dąbrowy,
Jak wosk giętki do złego, cierpki na przestrogi,
Na pożytki niedbały, trwoni kruszec drogi,
Dumny, chciwy, rzecz pierwiéy ulubioną miota.
Wiek *męzki* skrzętnie szuka przyjaciół, i złota,
Do wzniesienia się licznych używa obrótów,
A jeżeli coś zrobi, odmieniać znów gotów.
Starca otacza cierpień rozlicznych gromada,
Ociąga się, i nie śmie użyć co posiada.
Wszystko czyni oziemble, zawsze bojaźliwy,
Zwleka, w nadziei gnuśny, i przyszłości chciwy,
Nieużyty i gdéracz, chwali czasy dawne,
I na młódszych wywiera skargi nieustawne,
A jak wiele wiek przyszły słodyczy otwiéra;
Tak czas przebyty mnogie pociechy odbiéra.

ANEGDOTY.

W pewném mieście w Niemczech, przedawano przez licytacyą publiczną rozmaite rzeczy, a między innemi xiążki. W liczbie kupujących, znaydowała się jedna znakomita autorka niemiecka. Dama ta, którey zapewne nie brakowało pieniędzy, na swą stronę wszelkie lepsze przeciągała rzeczy. Co sprawiło wielkie nieukontentowanie pomiędzy targownicami, życzącemi sobie nabywać je za bezcen, a potém zyskownie sprzedać. Wreszcie, koley przyszła i na xiążki, które także się jey dostały. „Teraz dopiéro widzę” rzekła jedna z tych niewiast: „że ona wszystko to czyni z zazdrości. Bo „do czego jey te xiążki, kiedy je sama pisze?”

Pewny bogaty i znakomity Paryżanin, spotkawszy na ulicy *Diderota*, rzekł: „Wiadomo WPanu, że lubię czytać, i wiele xiążek skupuję; lecz „nie mając obszérnych wiadomości w literaturze, „częstokroć chybiam w wyborze. WP. Panie Di„derocie, jako człowiek uczony, masz zapewne bi„bliotekę wyborną. Przyszliy więc mi cokolwiek „do czytania!” Diderot chętnie to przyjął i nazajutrz posłał mu część pierwszą: uwag Woltera nad historyą powszechną. Miłośnik literatury z rozkoszą ją przeczytał i wkrótce prosił o część drugą. Diderot, który zwykle bywał roztargniony, oddał posłańcowi tęż samą część *pierwszą*; a gorliwy czytelnik, nie postrzegłszy omyłki, wziął się do niey na nowo. Po kilku dniach, znowu napotkał Diderota. „Jakem wdzięczny WP. za jego xiąż„ki.” powiedział. „Jak one zaymują! Uczony to „autor — bardzo uczony. Wiele w nim nowości, „zwłaszcza w drugim tomie. Postrzegłem atoli, „że *niekiedy powtarzać lubi!*” *N. A. K.*
